Nr. 9. We Lwowie dnia 4. marca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Juljusz Słowacki i jego dzieła.

II.

Pierwszy tom objaśniający pracę dra Biegeleisena składa się z obszernego i nadzwyczaj treściwego słowa wstępnego, w którem zebrano pokrótce wszystko to, co można uważać za pozytywne zdobycze dotychczasowej pracy bjograficznej i krytycznej o Słowackim. Autor unika tu wszelkich kontrowersji, podaje daty i szczegóły prawie dogmatycznie, nie wdając się w rozbiór innych zapatrywań, nie wymieniając, jakie i czyje odmienne zdania prostuje. Jest to jak gdyby przygotowany i ociosany materjał na nową bjografję i charakterystykę poety, której jednak autor dać nie chciał — nie wiemy, czy przez zbytnią skromność, czy z braku czasu i miejsca, by zbytnio nie rozszerzać ram swego komentarza. To pewna, że czytając to słowo wstępne, odczuwamy żal do autora, że poprzestał na ociosaniu i ułożeniu na kupę tych cegiełek, a nie zbudował z nich organicznej i pięknej całości.

Dalej idą »Objaśnienia utworów Słowackiego«, a mianowicie w pierwszej grupie utworów z lat młodzieńczych (1826—1833), a następnie trzech pierwszych utworów z okresu dojrzałości (1833—1842), a mianowicie Kordjana, Mazepy i Balladyny. Objaśnienia utworów z lat młodzieńczych poprzedził dr. Biegeleisen również treściwem i gruntownem studjum bibljograficzno-literackiem, gdzie zgromadził i zestawił krytycznie wszystkie wiadomości o dacie napisania pojedyńczych utworów, o ich przerabianiu i drukowaniu, o motywach, które popchnęły Słowackiego na tory twórczości poetyckiej, o wzorach, na których się kształcił, o faktycznym podkładzie jego poezji, a wreszcie o wrażeniu, jakie wywołało ich ukazanie się i o późniejszych ocenach i krytykach tych wierszy. Z natury rzeczy wynika, że mamy tu daleko więcej ekscerptów, wypisków, cytat i streszczeń, niż własnej pracy myślowej autora; zwykły czytelnik pewnie wolałby studjum jednolite w rodzaju tych, których spory poczet streszcza dr. Biegeleisen; wolał on jednak zrezygnować z wypowiadania swych własnych zdań, by nam natomiast dać pewną i wyraźną nić przewodnią po tym gąszczu zawikłanych i drobnych, nieraz sprzecznych, a wogóle rozluźnionych i rozsypanych wiadomości, domysłów i sądów, którymi osłoniętą była do niedawna młodość Juljusza i początkowa doba jego twórczości. Kto sobie przypomni, jak dużo niepewnego pozostało tu właśnie w bjografji Małeckiego, ten niewątpliwie wdzięczny będzie drowi Biegeleisenowi za to suche, mozolne, lecz troskliwie zebrane i z wielką bystrością krytyczną opracowane zestawienie.

Po tym wstępie ogólnym następują krótkie objaśnienia do pojedyńczych utworów, gdzie już głównie chodzi o skonstatowanie czasu i specjalnych motywów napisania danego utworu, krytykę i oczyszczenie jego tekstu, skonstatowanie przeróbek, źródeł i wpływów postronnych, reminiscencji rzeczy i faktów widzianych przez poetę i gdzie przy końcu autor zestawia również sądy i kontrowersje, nawiązane do danego utworu. Rzecz naturalna, że objaśnienia te mają rozmaity charakter, stosownie do materjału, którym krytyk rozporządza. Przy »Mindowem« wyjaśnia dr. B. głównie tło historyczne tragedji. Bardzo zajmujące jest zbadanie historycznego podkładu »Jana Bieleckiego«, gdy natomiast rozbiór samego poematu ze strony literackiej pozostawiony jest nieco na uboczu. Rozbiór »Marji Stuart« rozpoczyna autor zestawieniem sądów rozmaitych krytyków polskich o tym utworze, dalej zwraca uwagę na wpływy Alfierego i Walter Scotta na koncepcję tego dramatu. Z objaśnień szczegółowych, dodanych do tekstu dramatu, sprostujemy mimochodem jedno, że Loretto sławne jest nie statuą Matki Boskiej, lecz domkiem tejże, który miał być cudownie przeniesiony przez aniołów z Pa-

lestyny. W ogóle zauważyć musimy, że w objaśnieniach szczegółowych autor gdzieniegdzie gubi miarę, wdając się n. p. w wyjaśnienia form gramatycznych, które, jeżeli wogóle były potrzebne, należałoby było zebrać razem i umieścić osobno jako glossarjum, lub też objaśnia rzeczy, nie potrzebujące zupełnie objaśnienia (upiór, orzeł dwugłowy, Newa i t. p.). Bardzo szczegółowe i zajmujące są objaśnienia do »Godziny myśli«. Rzecz to naturalna, jeżeli zważymy, że autobjograficzny ten poemacik dawał krytykowi możność przedstawienia pierwszych lat i wrażeń młodości Słowackiego, ważnych dla zrozumienia jego natury i dalszej twórczości.

Rzecz naturalna, że objaśnienia do utworów takiej miary jak Kordjan, Mazepa i Balladyna musiały wypaść daleko bardziej szczegółowo, niż objaśnienia utworów z lat młodzieńczych. Strona literacka, podkład polityczny i społeczny, tło ludowe i historyczne tych utworów domagały się szczegółowego wyjaśnienia i własnej oceny, zwłaszcza, że w krytyce dawniejszej wypowiadane były nieraz o tych utworach zdania sprzeczne, podyktowane stanowiskiem partyjnem lub odmiennem rozumieniem dziejów. Zaraz Kordjan pierwszy nastręczył ku temu sposobność. Wiadomo, jak surowo krytykowano to dzieło od samego jego ukazania się, ile nieprzyjemności musiał znieść Słowacki z powodu rozmaitych zawartych w niem alluzji osobistych, jak surowo potępił n. p. Małecki jego odezwanie się o Niemcewiczu i t. p. Dr. Biegeleisen w tym sporze staje po stronie Słowackiego i już w słowie wstępnem poświęca kilka uwag obronie Kordjana. Szczegółowo zestawia też krytyk w przypisach do tekstu reminiscencje z Pisma świętego.

Objaśnienia do »Mazepy« odznaczają się głównie bogactwem wskazówek bibljograficznych, odnoszących się do dziejów rzeczywistych i poetycznych Mazepy. Samodzielnego rozbioru dramatu Słowackiego dr. B. nie daje.

Lecz najobszerniejsze w tym tomie są objaśnienia do »Balladyny«. Najświetniejsze to pod względem bogactwa postaci i kolorytu dziecię fantazji Słowackiego, przystrojone w blaski i kolory zapożyczone z najrozmaitszych stron świata, od największych genjuszów literatur obcych, a przytem osnute na tle pieśni gminnej nastręcza też dla krytyka wdzięczne pole dla poszukiwań i porównywań, pozwalając wniknąć głęboko w tajemnice twórczości poetyckiej jednego z największych poetów polskich. Studjum dra Biegeleisena o tym dramacie jest niezmiernie pouczającem i pomimo swego mozaikowatego charakteru czyta się z wielkiem zajęciem. Różnorodność sądów o tej tragedji, porównanie jej różnorodnych motywów ze źródłami, na których są oparte, a nadewszystko pogląd na tło ludowe tego utworu i wreszcie analiza samej akcji dramatycznej — wszystko to składa się na całość niezwykle pociągającą.

Kończy się tom pierwszy tego komentarza umiejętnie zestawioną bibljografją pism Słowackiego, wydanych za jego życia, pism pośmiertnych, dalej przekładów dzieł poety na języki obce, prac o Słowackim i szeregiem zajmujących studjów takich, jak »Słowacki na scenie«, »Słowacki w malarstwie«, »Słowacki w muzyce«. Wreszcie podał dr. B. nader zajmujące wyjątki »ze spuścizny po Słowackim«.

Dr. Iwan Franko.

STOSUNKI NARODOWOŚCIOWE
w Galicji wschodniej.

(Archidjecezja lwowska obrządku rzymsko-katolickiego. Zestawił i opisał Jił. Odbitka z „Nowej Reformy". W Krakowie. Nakładem Towarzystwa „Szkoły ludowej". 1894.)

W publicystyce polskiej wśród prac o stosunkach naszych rozróżniamy dwa rodzaje. Jeden — to zbiory statystyczne w rodzaju »Roczników« dra Rutowskiego lub »Wiadomości« dra Pilata i t. d., t. j. materjał zupełnie surowy, jakby ruda z ziemi wydobyta; drugi, to artykuły rozumowane, nieraz bardzo dobrze i logicznie pisane, ale często wiszące w powietrzu! Winę zaś tu ponosi brak ogniwa pośredniego, brak zestawień statystycznych, któreby daty, odnoszące się do jednego działu, do jednego faktu, zbierały razem, grupowały, stawiały w stosownem oświetleniu i wyciągnąwszy z nich najprostsze wnioski stworzyły w ten sposób pewną podstawę dla artykułów i rozpraw rozumowanych.

Bywały i bywają wprawdzie próby tego rodzaju prac, lecz często, jak np. głośna w swoim czasie »Nędza Galicji w cyfrach« Szczepanowskiego, pisana zbyt gorączkowo, zbyt porywczo, zawierały zbyt wiele żywiołu — cennego wprawdzie w poezji, lecz nie w pracy statystycznej, t. j. fantazji. Przyczyną wprawdzie są tu także stosunki naszego dziennikarstwa, autor jeden i drugi nie otrzymuje takich honorarjów, aby nad jedną kwestją mógł ślęczeć miesiącami, on dzień w dzień musi dać jakiś artykuł, tak, że na szperanie ledwo czasu starczy.

Tem większą jednak jest zasługa tych niewielu, którzy, chcąc rzucić sobie i innym trwały grunt pod nogi budują jakąś specjalną kwestję od podstaw, szczebel po szczeblu, cyfra po cyfrze. Do takich autorów należy p. Jił, który w artykułach *Nowej Reformy*, a następnie w całym szeregu osobnych broszurek, noszących wspólny

tytuł »Uwagi na czasie« zabierał głos dla rozjaśnienia rozmaitych spraw żywotnych.

Piąta z rzędu broszurka owego cyklu nosi wspomniany na początku tytuł i dotyka kwestji ważnej: żywiołu polskiego w Galicji wschodniej, a zarazem jest niejako odpowiedzią na narzekania Rusinów, że Polacy chcą polonizować i polonizują wschodnią Galicję. »Badania — pisze autor — doprowadziły do tego wyniku, że żywioł polski, czysto rodzimy, starodawny i oparty na silnej podstawie, bo religijno-obrządkowej, nader szybko maleje przez niestrudzony i systematyczny wpływ duchowieństwa ruskiego i szkoły ruskiej, ale niemniej przez obojętność, a może nieudolność, a najprawdopodobniej przez zarozumiałość w potęgę siły własnej żywiołu polskiego na Rusi«.

Więc najpierw przystępuje p. Jił do stwierdzenia datami samego faktu, a następnie rzuca światło na jego przyczyny. Otóż pewną jest rzeczą, że wszyscy rzymsko-katolicy w Galicji wschodniej należeli do żywiołu polskiego, a umniejszanie się ich przy równoczesnym nadmiernym wzroście obrządku grecko-katolickiego dowodzi osłabienia żywiołu polskiego na korzyść ruskiego. Lecz to samo nie da miary owego osłabienia, które znacznie jest jeszcze większem. Bo odjąwszy cyfrę mówiących po polsku (po potrąceniu od nich żydów), od cyfry oznaczającej należących do obrządku rzymsko-katolickiego, otrzymamy wynik, który obejmuje tych z ludności polskiej wschodniej Galicji, którzy niestraciwszy jeszcze obrządku, stracili już język ojczysty, przeto również na rzecz strat żywiołu polskiego policzeni być winni.

Nie będziemy iść trop w trop za autorem, który przedstawia ten proces, jak się on odbywał w rozmaitych połaciach kraju, powiatach a nawet poszczególnych miejscowościach, poprzestaniemy tylko na datach ogólnych, które już same wykazują jaskrawo słuszność twierdzeń jego.

»Liczba ludności w tych powiatach (arch. lwow.) — pisze autor — wynosiła według spisu w r. 1890 ogółem 3,104.040. Według religji i obrządku było: rzym. kat. 601.725 t. j. 19·38% — grecko-katol. 2,016.959, t. j. 65·94%; — innych wyznań chrześcijańskich, głównie protestantów 28.820 t. j. 0·92% — religji żydowskiej 426.564 czyli 13·74%. Według języka macierzystego czyli narodowości było: mówiących po polsku 827.159 t. j. 26·64%, — mówiących po rusku 2,117.550, t. j. 68·22%, — mówiących po niemiecku 157.427, t. j. 5·07% — mówiących innymi językami i obcych pomijamy«. Otóż jeśli od cyfry »mówiących po polsku« odejmiemy przynajmniej 269.107 żydów, to otrzymamy 558.052, czyli liczbę tych z rzymsko-katolików w archidjecezji lwowskiej, którzy nie zapomnieli jeszcze polskiego języka, reszta zaś 43·673 już się zruszczyła. Dodajmy zaś, że procentowy przyrost ludności wogóle rzymsko-katolickiej był stosunkowo mały, a grecko-katolickiej był wielki, co znaczy, że wielu z pomiędzy łacinników zasymilował obrządek grecko-katolicki.

Jest jeszcze jeden czynnik, który ów stosunek przedstawia w gorszem jeszcze świetle. Oto z cyfry mówiących po polsku w Galicji wschodniej należałoby potrącić całe masy robotników mazurskich, którzy tu napłynęli głównie do robót przy kolejach, bo przecież ich nie można wliczać do naturalnego przyrostu żywiołu polskiego. Sądzimy, że przytoczone daty wystarczą na razie, odsyłając więc czytelnika po wszystkie bliższe informacje do cennej broszurki p. Jiła, przejdźmy do przyczyn tego stanu rzeczy, jakie on upatruje, do środków zaradczych, jakie podaje i w ogóle do jego ostatecznych konkluzji:

»Przez szkołę ruską — pisze p. Jił — zwłaszcza przy pomocy cerkwi, wynaradawia się szybko młode pokolenie obrządku rzymsko-katolickiego, a stawszy się ruskiem pod względem mowy, przechodzi zwolna na obrządek grecko katolicki. Gdyby tak dalej szło bez przeszkody, wówczas w okresie wcale nie długim potomkowie osadników ziemskich staliby się Rusinami«.

A więc żywioł ruski pochłania Polaków we wschodniej Galicji dwoma organami: przez szkołę i cerkiew. A i tu nie poprzestał autor na gołosłownem twierdzeniu i szczegółowo, na rozmaitych miejscowościach, udowodnił cyframi, że wszędzie, gdzie Rusini mieli swą cerkiew i szkołę, lub jedną z nich, brali górę nad Polakami. Zdarzały się nawet takie wsie, gdzie rzymsko-katolików była większość, ponieważ jednak tam Rusini mieli cerkiew, wielu z rzymsko-katolików przyznawało się do języka ruskiego. A zarówno pod względem cerkwi jak szkół, Rusini są w lepszem położeniu od nas. Oni wszędzie niemal po wsiach o mięszanej ludności mają cerkwie lub nawet odrębne parafje, zato polska ludność nie ma wcale kościoła, lub jeśli go ma, to należy do parafji tak rozrzuconej, iż proboszcz podołać jej nie może. Co się tyczy szkół, to korzystniejsze położenie Rusinów stwierdzają daty urzędowe, które za autorem przytaczamy:

»Według sprawozdania Rady szkolnej krajowej, w roku szkolnym 1892/3 było szkół ludowych — czynnych i nieczynnych — w całym kraju razem 4.036, z tych miało język wykładowy polski 1.820, ruski 2.071, a według ostatniego spisu ludności mówiącej po polsku 3,518.996, po rusku 2,826,262. To znaczy, że na 100 po polsku mówiących w całym kraju jest 80·31 mówiących po rusku, a na 100 szkół ludowych polskich jest 107.13 ruskich. Nie myślimy twierdzić, iż szkół ruskich jest za wiele, bynajmniej — w stosunku do ludności ruskiej jest ich jeszcze za mało, natomiast brak szkół polskich jest rażący i wymaga wyszukania i użycia odpowiednich środków zaradczych«.

Wszystko to zaś razem jest niezbitym dowodem, że nietylko niema mowy o polonizacji

Rusinów, wbrew ich narzekaniom głośnym, ale, że istnieje nagląca potrzeba przeciwdziałać wynarodowieniu się żywiołu polskiego w tej części kraju. Czarnem się może wydać komuś zdanie autora, kiedy mówi, »że lud polski w Galicji wschodniej w znacznej części zruszczony, a przeto poniekąd przygotowany do tego, aby i on kiedyś służył za podścielisko zamysłom rosyjskim«, a jednak przewidywanie na przyszłość może zabezpieczyć się nawet przeciw takiej ewentualności, której wykluczyć zupełnie niepodobna, zwłaszcza wobec agitacji ruskich moskalofilów. Tem silniej zaś do każdego z nas przemawia poparte takim zasobem statystycznym nawoływanie autora, który, prócz potrzeby wznoszenia kościołów dla ludności polskiej na wschodzie, na pierwszym planie stawia konieczność dostarczenia jej szkół polskich, a pierwszorzędną rolę w tem dziele ochrony żywiołu polskiego przeznacza „*Towarzystwu szkoły ludowej*“.

iks.

Badyle.

Nad śnieżnym zimy całunem,
Gdzie w lata promienne chwile
Wyniosłe błyszczało kwiecie,
Poschnięte sterczą badyle.

Tak smutno w dal białą patrzą
I w wietrze głowami chwieją,
Jak biednych ludzi gromada,
Co się rozstali z nadzieją.

I rzekłbyś, wzajem się skarżą:
Że »chleb już znowu podrożał«,
Ten, że »roboty nie znalazł«,
Temu »ktoś w domu rozchorzał«;

Że »trudno będzie wytrzymać,
Bo cięższe idą wciąż chwile!...«
... Nad śnieżnym zimy całunem
Smutne się chwieją badyle!...

Radegast.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Ciąg dalszy.)

Łukasz chciał pocieszać płaczącą dziewczynę, prosić, aby się tak srodze nie dręczyła, ale i jemu samemu puściły się nagle łzy z oczu. Nie o żonie atoli nieboszczce myślał, lecz o tem, jak dawno nie trzymał w ten sposób ręki Vendulki w swojej dłoni i żałował najpiękniejszych lat, które bez niej przetęsknił obok niekochanej kobiety.

I kto tylko ich widział, gdy, stojąc jedno przy drugiem, ściskali się serdecznie za ręce i patrzyli sobie w łzawe oczy tęsknie a rzewnie, ten musiał uczuć w sercu gniew na starego Paluckiego za dziwaczne urojenia, jakie się mu snuły po głowie. Jeżeli ci dwoje nie byli jakby umyślnie dla siebie stworzeni, to chyba już nikt inny na świecie. Równi sobie niemal wzrostem, oboje słuszni byli i smukli, jak dwa młode jasiony, źrenice obojga iskrzyły się, niby oczy lotnych kozic górskich, a czarne, jak krucze pióra, włosy zwijały się im w równie bujnych pierścieniach. I każdy, kto na nich choćby raz tylko spojrzał, wnet uwierzyć musiał, że ci dwoje byliby się wzajemnie pokochali, gdyby nawet tego nie chcieli, i że sądzono im było połączyć się w końcu ze sobą, gdyby nawet sprzysięgły się przeciwko ich związkowi wszystkie złe duchy, ile ich tylko uwija się w przestworze między ziemią a księżycem. Na czołach mieli napisane, że do siebie należą.

— Im szczerszy żal przejmuje cię dla nieboszczki, tem serdeczniejszą otoczysz opieką pozostałe po niej dziecko — wmięszał się między nich szwagier, widząc, że Łukasz wskutek silnego wzruszenia głosu wydobyć z piersi nie może. — Dotąd, jak zapewne słyszałaś, doglądała gospodarstwa Łukasza moja żona; pośpieszyła mu chętnie w pierwszej zaraz chwili z pomocą, ale nadal czynić tego już nie może. Gospodarstwo, jak wiesz, sami mamy wielkie, dzieci także w chałupie, jak kręgli, a ponieważ teraz właśnie rozpoczyna się w polu robota, więc bez narażenia się na dotkliwe straty, żona nie może co chwila domu odbiegać. Gdybyście zresztą mogli wziąść ślub za jaki tydzień, nie byłbym nawet wszczynał tej kwestji, ale zachodzi między wami pokrwieństwo, to samo nosicie nazwisko, trzeba więc będzie udawać się z prośbą o pozwolenie aż do biskupa, do Lutomierzyc, i nim ono nadejdzie, upłynie jak nic ze dwa miesiące. Wobec tego my wszyscy, ilu nas tu jest krewnych ze strony Łukasza, udajemy się do ciebie z prośbą, abyś ze względu na pilną w naszej rodzinie potrzebę, objęła natychmiast rządy w domu

przyszłego męża, a temsamem oszczędziła mu konieczności najmowania obcej kobiety, któraby wyniosła z jego domu, coby się wynieść dało, a może na domiar złego i dziecku jaką wyrządziła krzywdę.

Vendulka, słuchając swata, przestawała stopniowo płakać.

— I pocóż to aż tyle słów tracicie nadaremnie? — odparła z wymówką przyszłemu szwagrowi. — Jakażby to była ze mnie kobieta, gdybym troskę o dziecko i gospodarstwo narzeczonego obcej pozostawiła osobie? I coby pomyślał o mnie Łukasz i wy wszyscy, gdybym dla jakichś tam grymasów nie przyszła mu z pomocą w tak wielkim kłopocie? Nie wiem naprawdę, jakiegobym sama była zdania o dziewczynie, któraby na podobne żądanie odpowiedziała przez fałszywą dumę: nie! A już co najmniej doradzałabym jej narzeczonemu, aby z nią się nie żenił, gdyż nie wierzyłabym ani w jej szczerość dla niego ani w prawdziwość przywiązania. Ma się rozumieć, że pójdę gospodarować do Łukasza i to natychmiast, aby żona wasza mogła sobie w domu spokojnie pozostać przy własnej robocie i dziatkach.

Wszyscy sąsiedzi, ilu ich było w świetlicy, przyświadczyli ze szczerem uznaniem gorliwym słowom Vendulki. Nikomu ani na myśl nie przyszło dziwić się prośbie swata lub chętnemu przychyleniu się do niej dziewczyny. Mieliby jej owszem za złe, gdyby inaczej mówiła, a przyjaciele pana młodego byliby do śmierci zachowali ku niej urazę, gdyby pozwoliła, aby jej miejsce zajęła w jego domu i u kolebki jego dziecka obca, płatna kobieta.

Znanym jest w górach naszych i taki obyczaj, że panna młoda sprowadza się do męża w kilka tygodni dopiero po ślubie, skoro inaczej być nie może. Zdarza się atoli niemniej często, że gdy okoliczności tego wymagają, osiedla się w nowym domu swoim już podczas ogłaszania zapowiedzi. Bywa tak wówczas, gdy albo przyszła teściowa, bardzo starą i słabą będąc, chce się pozbyć jak najrychlej brzemienia trosk gospodarskich, albo też gdy przyszła synowa ma zastąpić miejsce świeżo wydanej za mąż córki, która niezbędną była w rodzinie, albo, nakoniec, gdy w domu znajduje się ktoś ciężką złożony niemocą, którego pielęgnowanie szczególniejszych wymaga starań. Od chwili, jednem słowem, gdy ojciec da słowo młodemu, dziewczyna uważana bywa bardziej za członka jego rodziny, niż własnej i ma obowiązek, śpieszyć jej z pomocą w każdej potrzebie. Pan młody znowu tak się zachowuje względem rodziców przyszłej żony, jak gdyby był naprawdę ich synem z krwi i kości. Wśród mieszczan nieznane są takie zwyczaje, będą więc mieli nowy powód do żartów, gdy te kartki wpadną im w ręce. Niechże raczą przytem pamiętać, że my, górale, jesteśmy tylko prostym, od wszystkich zapomnianym ludem, który tak sobie radę daje, jak mu rozumu staje.

Przewidywali już ludzie z góry, że zaraz po pierwszej zapowiedzi Vendulka zamieszka u Łukasza, aby ład zaprowadzić w zaniedbanym i osieroconym jego domu. Nieboszczka nigdy nie była skrzętną gospodynią, a nagła jej śmierć, i w ślad za nią idące zamięszanie dopełniły miary złego; widzieli więc w wyobraźni sąsiedzi Vendulkę już na nowem stanowisku, rokowaniom jej przeto ze swatem przysłuchiwali się jako rzeczy całkiem naturalnej i na tych zmowinach nieuniknionej. Najobojętniej wszakże zachowywał się przy tem własny jej ojciec, który nie raczył nawet słówka uronić w kwestji tak podrzędnej, pozostawiając córce zupełną swobodę działania, — niech robi, jak się jej żywnie podobać będzie. I jego też zdaniem należała ona bardziej już do Łukasza, niż do rodzinnego swego domu, dziękował nawet Bogu, że maluczko, a zniknie mu na dobre z przed oczu. Miał niezachwianą nadzieję, że nastąpią dlań teraz ciche, spokojne chwile, które mu dadzą możność godnego przygotowania się do ostatecznej podróży z doczesnego do wiecznego żywota. Spokoju tego zakosztować nie mógł, dopóki zmuszony był patrzeć na nieutulony smutek córki, który przerywały jedynie głośne wybuchy rozpaczy, a zarazem odpierać nieustanne napaści licznych jej wielbicieli, którzy żądali, aby się wstawiał za nimi przed córką. O, miał zaiste słuszność, gdy wyrzucał Łukaszowi kłopoty i udręczenia, jakich się najadł z jego powodu do syta!

Teraz za to, aby im wszystkim czas milej na gawędce upływał, z gorliwością wielką częstował sąsiadów tabaczką, a gdy Vendulka na zakończenie układów podała raz jeszcze rękę Łukaszowi, pchnął komornicę z dwoma ogromnemi dzbanami do gospody po piwo, a do komory po świeżo wyjęty z pieca chleb i kozie serki, aby ludzie o nim nie mówili, że na zmówinach jego jedynaczki powysychały im gardła. Sąsiedzi nie dali się też zbyt długo prosić: popijali i zakąsywali, jak należy

Łukasz tylko nie okazywał żadnej zgoła ochoty do jedzenia ani do picia. Spoglądając raz w raz ku drzwiom, wyczekiwał Vendulki, ale daremnie: dziewczyna znikła mu z oczu, gdy na zaproszenie przyszłego teścia siadał pierwszy za stół i odtąd się nie pokazała. Nie chciał o nią wręcz zapytywać, aby nie dać powodu do żartów, ale doznawał przykrego uczucia zawodu i nic go już nie cieszyło. Gdy jednak z chylącym się ku wieczorowi dniem szwagier szepnął, że czas o odwrocie pomyśleć, wstał z za stołu, i nie troszcząc się już wcale, czy go widzą, czy nie, wyszedł do sieni, aby młodej gosposi poszukać.

Komornica, którą spotkał w podwórzu, szeroko otworzyła oczy i usta, gdy zagadnął ją

o Vendulkę. Sądząc, że tępy ma słuch, powtórzył głośniej pytanie.

— Kto wie, odkąd ona już het, za górami za dolinami! — oświadczyła nareszcie.

— A dokądże poszła? — zdziwił się Łukasz niemniej szczerze jej odpowiedzią, jak ona wpierw jego pytaniem.

— Dokąd poszła? — komornica na to z większem jeszcze zdumieniem — a dokądże, na Boga, miałaby pójść, jeżeli nie do was? Gdym szła po piwo, układała rzeczy swoje w komorze, a gdym wracała, widziałam ją biegnącą w stronę waszego domu tak szybko, jakby na skrzydlatym leciała rumaku.

Nikt zapewne dziwić się nie będzie, że i Łukasz nie dał się zawstydzić Vendulce, i nie wracając już do izby, zapominając o szwagrze, który tam na niego czekał, aby razem odejść, popędził także do domu, jakby na skrzydlatym rumaku.

Wpadłszy bez tchu do izby, zastał Vendulkę pochyloną nad kolebką osieroconego niemowlęcia. Płakała znowu tak rzewnie, jak wówczas, gdy swat ją wprowadzał do izby ojcowskiej, a ona, stanąwszy przed oblubieńcem spojrzała mu oko w oko po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Łukasz nie ośmielił się przerywać jej łez wybuchami szalonej radości, jakiej doznawał, widząc ją nakoniec w domu swoim, i usunąwszy się pod okno, oczekiwał cierpliwie, aż się w żałości swej utuli. Słońce zachodziło właśnie, ogarniając ziemię falą złota, a na niebie rozpalając różowe płomienie: przepychem i krasą jaśniało wszystko, na czem spoczęło ludzkie oko. I zdawało się szczęśliwemu Łukaszowi, że to wigilja uroczystego jakiegoś święta, i że to święto będzie odtąd trwało tak długo, jak jego życie. Ileż to razy przypatrywał się, podobnie jak dziś, wiecznie zielonym lasom iglastym, myśląc przytem o Vendulce z uczuciem tak niezmiennej miłości, jak niezmienną była zielona szata drzew; ileż to razy słońce zachodziło równie wspaniale, jak w tej chwili, ale jemu się zdawało, że i słońce i świat cały okrywa gruba warstwa szarego popiołu. I nic go wówczas nie cieszyło, nic nie było mu miłem, nawet życie wśród swoich, bo wciąż miał przed oczyma to, czego widzieć nie chciał, a musiał unikać tego, ku czemu rwała się jego dusza. Jak często, na tem samem miejscu stojąc, narzekał w duchu na rodziców za los, jaki mu zgotowali, lub oburzał się na samego siebie, że był im posłuszny, chociaż dobrze wiedział, jako stryczek własnemi rękami na szyję sobie zarzuca.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.

C. d. n.

»GOPLANA«.*

Nowa opera Władysława Żeleńskiego, »Goplana«, z wielu powodów zajmie bezwątpienia wysokie i arcy-wyodrębniające się stanowisko w dzisiejszej sztuce. Kierunkiem swym kontrastuje ona z owemi krańcowemi prądami, które w przeciągu lat ostatnich, pod mianem realizmu, z taką bezwzględnością wdzierają się w dziedzinę sztuki. Osnowę do swego dzieła zaczerpnął Żeleński ze skarbca o niewyczerpanem bogactwie, skarbca ludowych podań, zkąd tryska świeża zawsze poezja i częstokroć głęboka, psychologiczna prawda.

Któryż z ludów słowiańskich nie zna owego pięknego podania, z małemi powtarzającego się odmianami: o córkach ubogiej wdowy, do których w zaloty przybywa pan możny; opowieść ta, gdzie poruszone są struny rozliczne, od uczuć najtkliwszych aż do najbardziej tragicznych, była niejednokrotnie opracowywana w poezji.

Na libretto »Goplany« składa się, oprócz scen rzeczywistego świata, upostaciowany w poemacie świat nadprzyrodzony, fantastyczny; Szekspirowska idylla duchów i chochlików, co to lubią psocić a wikłać człowiecze sprawy, stanowi jakoby ukrytą sprężynę akcji, a wymagając zarazem odrębnej charakterystyki muzycznej, niezmiernie wpływa na urozmaicenie muzycznych barw i odcieni.

Opera jest w trzech aktach, z których jeden w dwóch odsłonach. Pierwszy akt rozgrywa się na tle niezmiernie malowniczego obrazu, wśród którego rysują się postacie ze świata duchów: nad uroczym, lesistym brzegiem jeziora Chochlik i Skierka, koło nich w grupach baletowych kwiaty wodne, leśne i duchy skrzydlate, zmieniające się ustawicznie. Goplana, pani jeziora, wypływa na wielkim liściu lilji wodnej, a chór niewidzialny śpiewa:

Nad jeziorem mgła spoczywa,
Tuman rozległ się szeroko,
Co się w głębi wód ukrywa
Nie odgadnie ludzkie oko.
Co się w duszy ludzkiej mieści,
Jakie myśli leżą na dnie,
Ile cierpień i boleści —
Któż obliczy, któż odgadnie?

Jestto jakoby powiewny, pełen tęsknego i tajemniczego nastroju wstęp do ballady Goplany, która »smutna, zapłakana«, przed Chochlikiem i Skierką duszę swą otwiera.

Miłość zdradzona to zwykły temat, lecz tym razem krzyżują się wbrew przeciwne sobie ro-

* O poleconej przez komisję artystyczną do wystawienia w teatrze naszym »Goplanie« powtarzamy na razie zdanie krytyki warszawskiej.

dzaje uczucia: poryw idealny, duchowy, spotyka się ze zwykłą ziemską namiętnością — przeto prosty śmiertelny, Grabiec, gardzi miłością królowej jeziora, ucieka przed jej uściskiem, dążąc tam, kędy go oczekuje pod lasem ukochane wiejskie dziewczę. To jest powodem smutku Goplany. W tych scenach ballada Goplany o frazach szerokich, niemal w egzaltowanym nastroju wypowiadających miłośne żale i zawody, prześlicznie kontrastuje z piosnką Grabca: »Gdy się ściemni nad wieczorem«, piosnką o typie swojskim, a oryginalną, pełną życia i wesołości.

Chochlik chce pomścić wzgardzoną Goplanę, pozbawiając Grabca ukochanej Balladyny; w tym celu rzuca urok na pana Zamku, Kirkora, który rozmarzony, wiedzion lotem jaskółki, przybywa do chaty wdowy. Natchnienie kompozytora wypowiada się w prześlicznej pieśni Kirkora do jaskółki; tu tęsknota, pragnienia młodzieńczego serca mają swój wyraz. Kirkor spotyka dwie powabne dziewczyny, Alinę i Baladynę — obie powabne, obie pragnęłyby go poślubić. Sytuacja się wikła; uczucie szczere budzi się w sercu Aliny, ambitna żądza ogarnia jej siostrę. Z biegiem rzeczy coraz więcej przybywa czynników dramatycznych. Kostryn, towarzysz rycerski Kirkora, od pierwszej chwili ujrzenia Balladyny, jest owładnięty jej urokiem. Chochlik tymczasem podsuwa myśl, ułatwiającą wybór żony dla Kirkora, szepcąc wdowie:

Matko, są maliny w lesie,
Niechaj każda weźmie dzban,
Która pełny dzban przyniesie,
Tę za żonę weźmie Pan.

Na słowach tych osnuty temat muzyczny jest rodzajem leit-motivu, który powtarzając się, zmienia swą barwę stosownie do chwili akcji i do czynników, w niej działających; łagodny, kuszący, fantastyczny zrazu, staje się namiętnym, gwałtownym, dzikim, gdy rozgrywają się tragiczne losy Aliny. Ona z przeczystą modlitwą na ustach, z myślą o owym pięknym skrzydlatym rycerzu, szuka malin i pierwsza dzban malinami napełnia.

Charaktery dwóch sióstr zarysowują się wyraźnie, a psychologiczna ich odrębność daje znowu pole do pełnych siły kontrastów i efektów myzycznego pierwiastku. Pogodna i czysta dusza Aliny wypowiada się w akcentach już to radośnych i naiwnych, już to, z postępem akcji trwożnych i serdecznie błagalnych. Balladyna, której sercem miota zawiść i zazdrość, daje się stopniowo unosić coraz silniejszemu rozdrażnieniu i namiętności, coraz gorszym instynktom, aż wreszcie topi nóż w łonie siostry.

Śpiew Balladyny po dokonaniu zbrodni odsłania głębinę czarnej duszy bohaterki, gdzie już budzi się trwoga i nurtować poczynają wyrzuty sumienia.

W trzecim akcie widzimy Balladynę, królującą na zamku, lecz jakże złowrogie podwaliny jej wielkości? Ileż zdrady i zbrodni co krok na jej drodze? Grzeszne porozumienie z Kostrynem, wypędzenie matki, wreszcie otrucie Grabca, który był świadkiem zbrodni w lesie, będąc zamieniony w wierzbę ręką mściwej Goplany, a teraz zjawia się na Zamku, jako uosobienie wyrzutów sumienia.

Są tu rzeczy o nastroju potężnym, a efekt musi być niewątpliwy w ramach wspaniałego dekorum i w przepychu instrumentacji, którą Żeleński świetnie wyprowadza, odbijając w niej subtelne psychologiczne zmiany i sytuacje każdej niemal chwili.

W dalszym ciągu akcji wykrywają się zbrodnie Balladyny; własna matka ją oskarża, świadectwem też owa krwawa plama na czole, przykryta wstęgą, którą zdjąć rozkazuje Kirkor, wiedziony najgorszemi przeczuciami.

»To krew Aliny!« — woła chór — lecz sprawiedliwość ludzka nic nie może. I oto następuje finale, finale wspaniałe, przejmujące zgrozą i dreszczem przerażenia: chwila Bożego sądu! Wśród huczącej grzmotami burzy, piorun uderza Balladynę: zbrodniarka ginie, a wobec doraznej kary niebios, wszyscy cofają się w trwodze.

Balladyna, bohaterka, jakiej dotychczas nie posiadała opera nasza, zbliża się, a raczej staje obok szekspirowskiej Lady Mackbeth, nie ustępując tejże tragicznemi rysy charakteru — tylko akcja rozgrywa się tu na tle swojskiem, przy tajemniczem współdziałaniu świata nadzmysłowego, i znakomity muzyk, obejmując twórczością swoją wszystkie te różnorodne czynniki, z prawdziwem mistrzowstwem porzuca naprzemian struny liryzmu i dramatu, kojarzy grozę ponurych namiętności z idealną szczerością i prostotą ludowego pierwiastku, ilustruje fantastyczne, powiewne obrazy nadprzyrodzonego świata, lub przemawia malowniczemi dźwięki i głosy natury.

S. J.

O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe.

(Ciąg dalszy).

Niewątpliwy i dowiedziony jest wpływ ducha na sprawy odżywcze skóry. Największe współczesne powagi lekarskie stwierdziły zmiany w zabarwieniu skóry oraz we wzroście paznogci, siwienie włosów i ich wypadanie, różne wysypki skórne, występujące pod wpływem silnych wzruszeń, lub wogóle pewnych stanów psychicznych. W archiwum Virchowa ogłoszone są dwa niezmiernie ciekawe pod tym względem wypadki.

Pierwszy dotyczy 13-letniej idjotki, u której perjodycznie występowały okresy podniecenia i przygnębienia, trwające od 8 do 14 dni; równolegle i stale z temi okresami zmieniała się barwa włosów z jasnobląd w czerwonorude i odwrotnie, całkowita zaś ta przemiana dokonywała się w ciągu 48—60 godzin. Badanie mikroskopowe wykazało, że włosy z dwóch tych okresów różniły się nietylko co do barwy, lecz także pod względem innych własności. Drugi wypadek dotyczył epileptyka, u którego napad zwiastowało przygnębienie z szybko następującą zmianą włosów gładkich, połyskujących, miękkich i barwy ciemnoblond na kędzierzawe, matowe, twarde i rude. Rauber zna rodzinę, u której włosy kręcą się przy usposobieniu wesołem, albo podniecowem, wygładzają zaś w stanie przygnębienia i zmęczenia. Wiadomo, że św. Franciszek z Assyżu dostawał w dnie, w które ze spotęgowanem natężeniem wmyślał się w mękę Pańską, plam krwawiących na rękach i nogach, w miejscach, odpowiadających ranom Chrystusowym. I później spotykano często podobne piętna krwawe, zwłaszcza u kobiet, jak n. p. u słynnej Luizy Lateau w Belgji, co do której komisja lekarzy stwierdziła, że plamy krwawe na czole, dłoniach i nogach nie są udanemi, lecz występują pod wpływem silnej ekstazy religijnej, a więc objaśniają się potężnem skupieniem uwagi i wyobraźni na dane miejsca skóry.

Cierpienia osi mózgo-rdzeniowej wywierają nader wielki wpływ na pewne zmiany odżywcze w mięśniach i kościach. Do szczególnych takich zmian, wywołanych przez wstrząsające wzruszenia moralne, zaliczyć można katalepsję. Poważne chorobe sercowe, a mianowicie przerost mięśnia sercowego, stłuszczenie serca nierzadko spowodowane bywają przez zbyt silne i częste wzruszenia. Przy stłuszczeniu serca silna rozpacz lub żal, zarówno jak radość, mogą spowodować pęknięcie tego narządu. Co do wpływu układu nerwowego na stan patologiczny organów oddechowych, to wiadomo niewątpliwie, że wzruszenia moralne stanowią jedną z przyczyn, mogących wywołać nerwową astmę, prowadzącą nierzadko do rozedmy płuc, nieżytu i rozszerzenia oskrzeli. Przedwczesna lub zbyt natężona praca umysłowa, długotrwałe zmartwienia usposabiają do rozwoju gruźlicy płucnej, albowiem wogóle zmniejszają odporność organizmu, w szczególe zaś tkanki płucnej. Nader znaczną rolę odgrywają czynności duchowe w chorobach układu trawienia, w którym funkcja gruczołów posiada wagę pierwszorzędną, znanym zaś jest wpływ wzruszeń na ilość i jakość wydzieleń gruczołowych.

Wstrząśnienia ujemne, troski, nadmierna praca umysłowa, zboczenia umysłowe mają bardzo wielki udział w wywoływaniu choroby cukrowej. Te same czynniki przyczyniają się do powstawania chlorozy i leukomji (pewne formy blednicy), a nawet groźnej anemji postępującej. Jednym z najważniejszych czynników zmniejszających odporność tkanek naszych są zboczenia w ich inerwacji, których najdalszem źródłem jest stan duchowego napięcia organizmu. Tem się tłómaczy niewątpliwy wpływ zmartwień, strachu, silnych podrażnień psychicznych, usposabiający do powstawania chorób zakaźnych, jak gruźlica, tyfus, cholera i t. p. Silne wzruszenia wywołać nawet mogą śmierć natychmiastową.

Daleko wybitniejszy jeszcze jest wpływ czynności duchowych na chorobliwe zboczenia w samym układzie nerwowym. Strach, silny gniew, troska, przepracowanie umysłowe, nawet nagła radość były wiele razy wskazane jako przyczyny epilepsji. Wiadomo, że pląsawica u dzieci występuje nader często wskutek przestrachu, zawstydzenia, skarcenia, także jako naśladownictwo. Tak często spotykana newroza, jaką jest histerja, bardzo często powstaje u kobiet pod wpływem wzruszeń, jak: zmartwienia, strach, gniew, przeciwności; wzruszenia moralne nietylko stanowią przyczyny histerji, lecz są czynnikami, usposabiającemi do niej. Druga przerażająco rozpowszechniona newroza, zwana neurastenją, przeważnie zawdzięcza swoje powstawanie tymsamym przyczynom. Czynniki psychiczne powodują nietylko tak zwane newrozy czynnościowe, bez trwałych zmian anatomo-patologicznych, lecz także ciężkie choroby układu nerwowego, którym towarzyszą takie zmiany.

Nadzwyczaj doniosłym jest wpływ czynników psychicznych na choroby umysłowe. Odpowiednie statystyki uczonych podają zgodnie, że przeszło 65% tych chorób zawdzięcza powstanie swoje przyczynom natury psychicznej. Wzruszenia przykre, przygnębiające odgrywają tutaj wyłączną prawie rolę, radośne zaś prawie nigdy nie wywołują psychozy. Do warunków bardzo sprzyjających powstawaniu chorób umysłowych należą takie chwile w dziejach ludzkości, które pobudzają namiętność, szerzą grozę i przerażenie, n. p. wojny, rewolucje. Więzienia przysparzają wielu chorych umysłowo; głównemi zaś przyczynami są tutaj względy psychiczne: samotność, brak zwykłych podniet duchowych i t. d, które to względy działają nawet silniej, niż pogorszone warunki hygieniczne; zresztą warunki te dla wielu są lepszemi, niż na tak zwanej wolności. Dok. n.

PRO MEMORIA.

4. marca 1846. Oddział powstańców galicyjskich składa broń na granicy pruskiej w pobliżu Chełma.

9. marca 1808. W nowoutworzonem Księstwie Warszawskiem odbył się pierwszy sejm.

10. marca 1863. Ogłosił się dyktatorem powstania Marjan Langiewicz.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.